

Kraków
05-05-2011
DZ. / Nr 103

Spóźnione krzesło

WYZNANIA SZCZEREGO
ENTUZJASTY TEATRU

PAWEŁ GŁOWACKI

Na początku – ani jednego całego słowa. Ostrożnie mówiąc: nawet cienia całego zdania. Jeśli cudem pada ze sceny nieposzatkowany przymiotnik, czasownik nieporządny, niepołamany rzeczownik, jakiś nie kikut po prostu – z punktu zdycha w jazgocie semantycznych, gramatycznych, stylistycznych strzępów, kwiczących bez cienia planu, na ślepo, nieprzewidywalnie, strzępów, z których każdy panicznie ciągnie w swoją stronę. Prolog wyreżyserowanej przez Andrzeja Sadowskiego „Oleanny” Davida Mameta, pierwsze pięć, dziesięć, piętnaście minut, to Wieża Babel – ale jednego języka. Katujący ucho portret narzeczka, które samo siebie nie rozumie.

I to jest dobre. Teatr nie-pouczający, nienaprawiający świata, niementorski, teatr niedźgający widza wysokopienną tezą – to zawsze jest ulga. Przez pierwszy kwadrans, niech będzie – przez całą pierwszą część Sadowski zgrabnie ucieleśnia bełkot. Śmiesznie jest, groteskowo. W efekcie – przerażająco. Sadowski podaje do słuchania, oglądania codzienny nasz gulgót w akcji.

John (Tomasz Schimscheiner), profesor chyba psychologii, a konto wymarzonego awansu uniwersyteckiego dom kupuje. Więc – urwanie głowy. Telefon szaleje, żona wyje w słuchawce, spóźnienie rośnie, agent nieruchomości czeka, John wciąż w uczelnianym gabinecie. Nerwy szczytują, czas ucieka, papiery lecą z roztrzęsionych łap, a na dokładkę – ona włązi! Boże,

zlituj się! Ona! Studentka Carol (Karolina Stefańska), ten chorobliwie ambitny debilek, co z wykładów Johna nic nie rozumie i pracą semestralną zbliżył się do zera absolutnego, lecz mimo to przyłazi! Przyłaziło toto, by trójcyne wyżebrać, gdyż od dziecka marzy o ukończeniu studiów! Co robić?! Wyrzucić? Nie wypada! Przyjąć? Czasu nie ma! Boże, pomóż!... Zaczyna się ping-pong półstówek, sylab, liter, bąknięć, zająknięć. Puchnie seans gaf, nieporozumień, językowych rozminięć. I coś jeszcze: z dna bąkających, zwłaszcza z dna pamięci Johna, wylazi jakaś miękkość, niemoc, lęk, jakiś brak siły do tupnięcia nogą. Wylazi ułomność, inaczej zwana delikatnością. John zostaje. Zaprasza do rozmowy. Bełkot się uspokaja. Słychać pełne zdania. Czuć sylusół.

Trochę przypomina się Gustaw Flaubert, jego projekt powieści, która trzymałaby się siłą samej melodii języka – nic nie znacząc. I przypomina się Samuel Beckett. „Cóż pan chce – słowa to wszystko, co mamy” – tak mówił. Choćby połamane, porżnięte, poszatkowane, martwe – ale są. A jak są, jak słysząc bełkot – to znak, że się jeszcze jest tu i teraz. Tak, pierwszy akt jest dobry, ale się kończy. W drugim włązi na scenę IDEA, TEZA, POUCZENIE. Zaczyna się nuda oczywistości. Jak na Mameta – nuda potworna. Włązi Carol i od pierwszego gestu, pierwszego zdania wiadomo, że przepoczwarzyła się. Z kobiety zrobiła się działaczka – taka to była działaczka. Na domiar złego – o buraczkach zapomnij.

Krańcowo wyżyłowana feministka, z lodowatym

okiem recytująca formułki ze skryptu politycznej poprawnności. Mam przyjaciela na Uniwersytecie Jagiellońskim – ciągle opowiada o tych duchowych poczwarach w glanach i portkach z krokiem na wysokości kolan. Bez wytchnienia pyskują o „gender studies”, wzdychają do Jeleni, chcą podnosić ciężary na olimpiadzie w Londynie, nic nie umieją, nic nie czytają, ale codziennie człapią do rektora – one, których by za żadne pieniądze nie tknął nawet kryminalista po 25 latach odosobnienia! – człapią ze skargą, że profesor nieprzyswoite propozycje seksualne im na zajęciach składał gestem polegającym na dłubaniu palcem w nosie! Przyjaciela mego gnębi dylemat: dlaczego mianowicie żadnej z poczwar jeszcze nie zabił. Podobny dylemat gnębi widzów na drugiej części „Oleanny”.

Raczej Mamet, nie Sadowski, rzecz tak ustawił, że jedyną ciekawostką jest: dlaczego John chce Carol, która na kanwie bełkotu w akcie pierwszym oskarża go o wszelkie mobbingowe świństwa, potraktować krzesłem dopiero w finale. Innych ciekawostek brak. Z dobrej, szybkiej, nieoczywistej gry Stefańskiej i Schimscheinera w akcie pierwszym – zostaje sceniczna pogadanka pogładowa o cwaniaczkę, która męczy niewinnego. Słowem, gdyby John uruchomił krzesło godzinę wcześniej – nie tylko on zaoszczędził by godzinę.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. David Mamet „Oleanna”. Reżyseria, scenografia, opracowanie muzyczne Andrzej Sadowski.